

BEATA MAJEWSKA



Konkurs na żonę

MIRAZ

Beata Majewska

Konkurs na żonę

MIRAZ

Rozdział 1

Ci, którzy nie znali Hugona Hajdukiewicza zbyt dobrze, twierdzili czasami, że powinien być urodzić się kilkaset lat wcześniej. Może dlatego, że od kiedy osiągnął pełnoletniość, jego życie przypominało historię szalonego szlachetki, a wygląd playboya i posiadane zasoby finansowe dodatkowo mu to ułatwiały.

Prowadził się swobodnie, ale teraz, gdy od pamiętnej osiemnastki minęła równa dekada, wszystko się zmieniło. Hugo zamierzał się ustatkować, tym bardziej że powody ku temu miały „znamiona najwyższej rangi”.

Ubrany w garnitur, prężnym krokiem pokonał kilkanaście stopni do budynku uniwersytetu, równie energicznie przeszedł przez długi korytarz i zatrzymał się dopiero przed drzwiami biblioteki.

– Renata Kalinowska – westchnął cicho. – Pięćdziesiąt parę lat? Tleniona blondynka, w okularach i pastelowym sweterku? – zgadywał.

Wlepił wzrok w niewielką tabliczkę informacyjną. W duchu zatarł ręce. Lubił takie kretyńskie pomysły, zwłaszcza te skrojone w jego wygodnym stumetrowym apartamencie, przy butelce przedniej whisky i w towarzystwie najlepszego kumpla, Adama Solińskiego.

Plan pod kryptonimem ŻONA był skomplikowany i wielopłaszczyznowy, w większej części sponsorowany przez Hajdukiewicza, ale ze wsparciem firmy reklamowej Solińskiego. W skrócie dzielił się na dwa niezależne obszary działań: wyszukanie

kandydatki wśród najbardziej pilnych bywalczyń czytelnicy albo wyłonienie jej w drodze konkursu literackiego.

Hugo wyraźnie, jakby to było dzisiaj, słyszał ówczesne słowa przyjaciela:

– Pamiętaj, bracie, najlepszą kandydatkę na żonę znajdziesz w bibliotece albo kręcącą się przy dzieciach czy pracującą jako wolontariuszka w fundacji, ewentualnie na spotkaniach grup oazowych, ale z tym ostrożnie, bo na fanatyczkę trafić nietrudno. A jeśli pod uwagę weźmiesz, gdzie takie perełki mieszkają – szukaj wyłącznie po wsiach i małych miasteczkach.

Hajdukiewicz nie mógł nie przyznać mu racji. Dostyć miał swoich i Adasia przyjaciółek, koleżanek i znajomych, preferujących swobodny styl życia singielek, uprawiających fitness, clubbing i seks bez zobowiązań pięć razy w tygodniu, mających na koncie osiem związków typu *friends with benefits*, i traktujących facetów przedmiotowo: jako obiekty seksualne lub jak bankomaty na dwóch nogach.

I zupełnie go nie ruszało, że w zasadzie on i Adam byli ich męskimi odpowiednikami, a ich zachowanie i ocena tych kobiet były przesiąknięte czystą hipokryzją: inną miarę stosowali do siebie niż do kobiet, które bezlitośnie dzielili z Solińskim na te do życia i te do zabawy.

On potrzebował cichej, spokojnej, ułożonej i niezmanierowanej młodej dziewczyny, która szybko poświęciłaby swoją wolność na ołtarzu, zgodziła się na intercyzę i urodziła dziecko nie po trzydziestym piątym roku życia, lecz rok po ślubie, jak to kiedyś bywało. Czy to tak wiele? Przecież miał tyle do zaoferowania swojej przyszłej wybrance...

– Szable w dłoń – mruknął, zerkając na swoją skórzaną teczkę, i nacisnął klamkę.



Łucja Maśnik jak w każdy piątek spędzała w bibliotece dwie godziny okienka między wykładami. Zerknęła na zegarek, tylko kwadrans dzielił ją od ulubionych zajęć z socjologii obszarów

wiejskich. Przez moment rozważała, czy nie skusić się na jeszcze jeden artykuł o demaskatorstwie emocjonalnym, ale ostatecznie zamknęła książkę i zaczęła pakować swój notatnik do nieco sfatygowanego plecaczka z imitacji skóry.

– Dzień dobry – głośnie powitanie dobiegło od strony masywnych, drewnianych drzwi.

Podniosła wzrok. Do biblioteki wchodził właśnie młody, wysoki, dobrze zbudowany i bardzo przystojny brunet, z pewnością niewyglądający jak jej przeciętny kolega z uczelni. Łucja oceniła błyskawicznie, że to ktoś majątny, był znakomicie ubrany, doskonale uczesany i zdecydowanie zbyt pewny siebie jak na studenta.

Stukając obcasami, mężczyzna podszedł do bibliotekarki, ale zanim wypowiedział do zaskoczonej kobiety pierwsze słowo, jego oczy spoczęły przez chwilę na Łucji. Poczowała prześlizgujące się po niej taksujące spojrzenie i sama odruchowo za nim podążyła, zerkając na siebie. Listopad w tym roku nie rozpieszczał. Było obrzydliwie: wiało, lało, czyli okładało po twarzy mieszaną lodowatą wodą niesioną przez bezlitosne podmuchy wiatru. Łucja zawsze była zmarzluchem. W piątkowy poranek wyciągnęła z rozpadającej się szafy w akademickim pokoju chyba wszystkie ciepłe ciuchy, jakie w niej zgromadziła: podkoszulek, cienką bluzkę w kolorze zgniłej zieleni, szarobury golf, tunikę z akrylu o barwie bardzo gorzkiej czekolady, grubsze rajstopy i do tego sztruksy w odcieniu wody z kałużą. Całości ponurej kompozycji dopełniał zupełnie niepasujący do reszty zrobiony na drutach pomarańczowy szalik, otrzymany w urodzinowym prezencie od czternastoletniej kuzynki Magdy, oraz jedyna, ale za to imponująca dekoracja, czyli „peleryna” blond włosów.

Łucja zagryzła wargi, miała wrażenie, że spiekła raka całym swoim osiemnastoipółletnim ciałem. Wiedziała, że na tle wystrojonych koleżanek, krakowskich i nie tylko krakowskich eleganek, prezentuje się wyjątkowo skromnie, ale po raz enty szybko przywołała w myślach uspokajającą formułkę babki: „Liczy się wnętrze, a fasada wystarczy, że czysta i świeża”.

Na szczęście przystojniak zwrócił się właśnie w stronę pani Renaty i Łucja odetchnęła z ulgą, ale gdy kilkanaście sekund

później opuszczała bibliotekę, jeszcze ciągle miała wrażenie, że ten tajemniczy człowiek nie przestał jej lustrować swoim przenikliwym wzrokiem.



– Jak dobrze, że już skończył zamulać... – Marta Zagórska sapnęła z ulgą, zerkając na wykładowcę spod grubych wachlarzy rzęs.

– Ja też ledwie ciągnę – jęknęła jej skrzydłowa Ola, ksywka Ruda, bo razem z Martą spędziła poprzedni wieczór, szalejąc do drugiej w nocy w klubie Afirmacja na ulicy Grodzkiej. – Masz notatki? Pożyczysz? – Odwróciła się w stronę Łucji.

– Jasne.

– Dzięki. – Puściła do niej oczko.

Na początku października, gdy tylko spiknęły się z Martą, postanowiły, że muszą znaleźć jakąś frajerkę, która zapewni im wsparcie. Padło na Łucję. Choć zamierzały być bezlitosne, zachowanie koleżanki nieco zbiło je z tropu. Była miła, ciepła i sympatyczna, młodsza od nich o rok, ale wejść sobie na głowę nie pozwalała, co wzbudziło w nich szacunek. Czasami próbowały wlec ją ze sobą do klubu czy na zakupy, ale gdy kiedyś przy herbacie w uczelnianym bufecie opowiedziała im pokrótce swoją niewesołą rodzinną historię – zaprzestały.

Ostatecznie mimo ekstremalnych różnic w sposobie bycia, upodobaniach, pochodzeniu i prawie wszystkim, co było możliwe, całą trójkę łączyła dziwna, ale szczerza przyjaźń.

– Idziemy na pizzę? Ja stawiam. – Marta podniosła się z twardego krzeselka, które przez ostatnie dziewięćdziesiąt minut pełniło raczej funkcję łóżka polowego. – Dostałam trzy stówki od tatusia. Ma wyrzuty, bo w środę wrócił na lekkiej bani i zrobił taki kwas matce, że teraz pewnie do świąt będzie pokutował. Przy okazji ja się załapałam. – Uśmiechnęła się tryumfalnie.

– Sorki, ale muszę poszukać czegoś w pasmanterii, a potem wracać do akademika. – Łucja wzruszyła ramionami. – Jadę na weekend do domu. Obiecałam babci, że kupię jej specjalną taśmę do firanek, dwadzieścia precli dla całej mojej rodzinki,

a później czeka mnie pakowanie. Nie mam już czystych ciuchów. – Od razu przypomniała sobie spojrzenie dziwnego faceta z biblioteki.

– Uhm. – Ola była dzisiaj wyjątkowo zgodna. – Ale ksero zdążymy zrobić?

Dziewczyny już zmierzały w kierunku wyjścia, próbując przepchać się przez ponad stuosobowy tłum studentów, gdy ich wykładowca kilka razy stuknął w mały mikrofon.

– Chwileczkę, proszę państwa. Kurenda! – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Wszyscy natychmiast się zatrzymali. Profesor Śliwka nie lubił, gdy studenci przeszkadzali w zajęciach. O ile przysypianie w trakcie wykładów lub korzystanie z tabletów i smartfonów jeszcze tolerował, o tyle brak posłuchu lub nadmierna aktywność skutkowały konsekwentnym oblewaniem na egzaminach, a że miał pamięć słonia, więc nikt się nie wychylał.

– Na stoliku – wskazał palcem – leżą materiały dotyczące małego konkursu, proszę pobrać i się ustosunkować. Udział w przedsięwzięciu nie jest obowiązkowy, ale nagrody pieniężne ufundowane przez sponsora na pewno się państwu przydadzą, poza tym firma... – podniósł świstek leżący przed nim – ABC Matrix dotowała naszą bibliotekę kwotą pięciu tysięcy złotych i wypadałoby się odwdziżyć – zakończył z emfazą.

– Borze liściasty, co znowu? – jęknęła cicho Marta. – Konkurs?

– Nie marudź. – Ola popchnęła ją lekko. – Nie musisz brać udziału.

Mimo tumultu przy stoliku dziewczynom udało się w miarę sprawnie „pobrać materiały”, opuścić salę i stanąć w długiej kolejce do punktu ksero.

– Ej, sasanki! – Marta wybuchnęła śmiechem, wpatrując się w treść ulotki, którą właśnie wyjęła z kieszonki obcisłych biodrówek. – Czytałyście? Ale bzdety! – pisnęła cicho. – Rzeczywiście jesteście w matrixie.

– Pokaż. – Łucja nachyliła się nad kartką.

– Mamy napisać artykuł? – Ola niedowierzała. – *Idealna żona, idealny mąż – XX i XXI wiek, różnice w percepcji.*

– O ja nie mogę, ale jaja. Co to ma być? – Marta piała na najwyższych rejestrach.

– Konkurs. – Łucja lekceważąco wzruszyła ramionami, choć ją też rozbawiła ta historia. – Jakie nagrody?

– Trzy miejsca: tysiąc, pięćset i stówka, będzie na waciki. – Ola rzeczowo oceniła sytuację. – Spoko, można coś napisać. Po-dali link do szczegółowego regulaminu. – Długim paznokciem wskazała linijkę tekstu na odwrocie ulotki.

– Ja odpadam. – Marta zmarszczyła nos. – Nienawidzę wypracowań i nie będę wam robić konkurencji.

Dyskutowały zawzięcie, śmiejąc się zarówno z tematu, jak i nazwy firmy, która sponsorowała konkurs. Zamilkły, dopiero gdy dopchały się do upragnionego okienka i wreszcie notatki spisane ślicznym, kształtnym pismem Łucji zniknęły w czeluściach kserokopiarki. Ich autorka kilka następnych minut studiowała uważnie treść ulotki, po czym oświadczyła dziewczynom, że chyba się zdecyduje. Wszak w jej sytuacji finansowej nawet stówka stanowiła sporą zachętę.



– I jak było? – Adam solidnie beknął, odstawił na stolik szklankeę po piwie Guinness i nerwowo rozejrzał się na boki. Na szczęście, o tej porze pub Irlandia był w miarę pusty, jedynie kilka stolików dalej siedziała jakaś parka.

– Ciekawie. – Hugo parsknął śmiechem, widząc zachowanie przyjaciela. – Staralem się wyglądać skromnie, nie epatować seksem, za to uwodzić kompetencją. Wszystko poszło zgodnie z planem. Oto lista z biblioteki. Pięćdziesięciu najgorliwszych czytelników wywodzących się ze studentów i studentek pierwszego roku Uniwersytetu Jagiellońskiego. W tym... – znacząco przeciągnął głos – aż trzydzieści osiem z pewnością ślicznych i młodych dziewcząt! I co ty na to?

– Nieźle, choć twojego zaskoczenia nie pojmuję. – Soliński poprawił swoje eleganckie okulary, wziął kartkę i zaczął przelatywać wzrokiem po nazwiskach, próbując dostrzec jakieś znajomo

brzmiały. – Jak powszechnie wiadomo, babki stanowią trzy czwarte ludzkości lubiącej literaturę.

– Owszem, ale to chyba dotyczy wyłącznie literatury pięknej. – Hugo odpowiedział równie ironicznie i uniósł ciemne, dosyć szerokie brwi.

– Obawiam się, że pomyliłeś literaturę piękną z płcią piękną. – Adam ryknął śmiechem. – Jak świat światem, laski zawsze były większymi kujonkami, one pisały notatki i chodziły na wykłady, a my balowaliśmy, co nie przeszkadzało nam zdawać egzaminy znacznie łatwiej i uzyskiwać lepsze noty.

– Jesteś obrzydliwym szowinistą. – Hugo próbował nadać swojej twarzy wyraz największej odrazy, ale kiepsko mu to wyszło. – Poza tym u nas...

– ...na Harvardzie. – Soliński dokończył za niego, okraszając wypowiedź kolejnym rechotem.

– Tak, dokładnie... – Hajdukiewicz ciągnął niezrażony – u nas na Harvardzie nie zauważyłem żadnych różnic między wysiłkiem włożonym przez facetów...

– O! – Adam podskoczył na klubowym fotelu jak dźgnięty nożem. – Widzisz, Hugi, tu tkwi twój błąd myślowy! My, faceci, gdy już w coś wkładamy wysiłek, robimy to całkiem inaczej niż laski i u nas na UJ-ocie...

– Zamknij się, pajacu! – Hugo nie mógł już wytrzymać. – Kumpel z lat dziecięcych zawsze był nieznośny i, niestety, z biegiem czasu to się nie zmieniło ani o jotę. Młody Soliński, syn przyjaciół jego matki, sprawiał problemy już przed narodzinami. Pani Alicja, żona profesora Solińskiego, jednego z najlepszych kardiologów krakowskich, przeleżała plackiem całą ciążę z pierworodnym i, jak się później okazało, jedynym dzieckiem.

Adaś był niewiarygodnie inteligentny, podobnie ruchliwy i absorbujący, a gdy osiągnął wiek męski, jeszcze bardziej mu odbiło i zaczął korzystać z życia, czerpiąc je – jak to mówił – nie garściami, lecz raczej wiadrami. Miał ku temu warunki, bo ojciec łądował pieniądze w jedynaka, a i z urodą u Soli było niezłe: wysoki naturalny blondyn o niebieskich oczach.

– No dobra, nie gorączkuj się tak, bo zejdziesz na zawał. Same szlacheckie nazwiska – bąknął z przekąsem Soliński znad wydruku. – Liderem został kawaler Jaskółka Marceli, tuż za nim Targosz Szymon i pierwsza panna na liście „top ten” Ma... Maśnik? – jęknął z politowaniem. – Maśnik Łucja. Boże, ależ cię dziewczynko nazwali! Poza podium... Piputa? Jak można mieć na nazwisko Piputa i na imię Sandra? Jaja! Sandra Dżesika Piputa i Dżekob Stuart Ślimak to brzmi dumnie!

– Dajże tę kartkę. – Hugo wyrwał mu listę otrzymaną od Renaty Kalinowskiej, która okazała się szczupłą, wysoką kobietą z krótko ostrzyżoną siwą szczeciną i męskimi rysami twarzy. – Nazwisko i tak będzie miała po mnie, a imię też można zmienić, choć wymaga to nieco zabiegów.

– Hajduk, i ty mi mówisz, że jestem szowinistą? Ty pieprzony hipokryto. – Adam pokręcił głową z udawaną zgrozą. – Szukasz młodej naiwnej panny, dziewczycy i katoliczki, matki Polki, i na dodatek gdy będzie miała głupie imię, to jej zmienisz. Jaja! Naprawdę, cojones jak balony! – Uderzył się lekko w uda. – Idziemy. Dość grzania dupy. Mam robotę.

– Poczekaj. – Hugo chwycił za połę marynarki Solińskiego. – Siadaj, jeszcze część druga.

– Trujesz. – Adam z jękiem opadł na fotel.



Łucja dotarła na miejsce dopiero przed szóstą. Było już ciemno, na dodatek ani wujek Janek, ani wujek Stefan nie mogli jej odebrać z przystanku i musiała przejść pieszo niemal dwa kilometry dzielące ją od domu rodzinnego. Przez dobre pół godziny odmarzała, siedząc w kuchni i grzejąc zgrabiałe dłonie o kafle pieca.

Babcia jak zawsze przygotowała „coś na chybcika” i teraz to „coś” wesoło perkotało w małym rondelku ustawionym na kuchence gazowej.

– Uwielbiam twoje obiady babciu – powiedziała Łucja, gdy wylądował przed nią talerz pełen „odwrotnych gołąbków”, jak je nazwał Łukasz – syn cioci Agatki.

– Oj tam, to żaden wykwintny obiad. Ostatnio wszystko mi leci z rąk – westchnęła cicho. – Głodna jesteś i zmarznięta, to ci smakuje.

Babcia jak zawsze w trakcie jej posiłków przysiadła na krześle po drugiej stronie małego stołu i odruchowo wygładziła ceratę z nadrukiem wisienek.

– Nie, babciu! – Łucja pokręciła głową. – Miałam dzisiaj zaproszenie na pizzę, ale wołałam poczekać.

– Koleżanki cię zaprosiły? Ta Ola i Marta?

– Tak.

– Cieszę się, że masz przyjaciółki. – Babcia lekko się uśmiechnęła, widząc, jak jej ukochana wnuczka-córka stara się nie poparzyć i jednocześnie jak najszybciej zjeść całe danie.

– Ja też. – Niewyraźne mruknięcie znad talerza świadczyło, że Łucja skupiła się wyłącznie na sosie pomidorowym.

– Zaraz wybuchniesz, jak będziesz taka łapczywa. – Babcia pokiwała głową. – Zostaw trochę miejsca. Agatka dzwoniła i mają tu przyjść z Irenką, pewnie za kwadrans już będą z ciastem! Sernik przyniosą i babkę ucieraną.

– Teraz mi mówisz? – Łucja wywróciła oczami nad prawie pustym talerzem.

– Teraz, teraz... Znam cię, zawsze wołałaś najpierw deser, potem obiad.

– Babciu... jesteś niewiarygodnie przenikliwa! – Wnuczka w teatralnym geście osunęła się z krzesła na wyłożoną kolorowym linoleum podłogę.



– Musicie mi pomóc.

Łucja przyniosła swój plecak, wyjęła kartkę z regulaminem konkursu wydrukowanym w akademiku kilka godzin wcześniej i pokreślonym tu i ówdzie na żółto fluorescencyjnym pisakiem.

– Muszę zarobić na swoje potrzeby, a jest okazja. – Mrugnęła do zgromadzonych przy stole ciotek i babci.

– Co to? – Babcia założyła okulary zawsze dyndające nad obfitym biustem i zaczęła czytać.

– Mam napisać coś... może być esej, wywiad, opowiadanie, felieton, nie ważne co. – Łucja machnęła ręką. – I ma to mieć minimum dziesięć tysięcy znaków ze spacjami, być opatrzone godłem i ma być o tym, jak wyobrażałyście sobie idealną żonę i idealnego męża w dwudziestym wieku, a jak teraz to widzicie. Gdy moja praca będzie dobra, zarobię kasę. I to cała historia.

Trzy kobiety wlepiły w nią trzy pary szaroniebieskich i jednakowo zdumionych oczu.

– My to mamy napisać? – Ciotka Agata w końcu nie wytrzymała. – Czy oni tam na tych uniwersytetach na mózg poupadali? To już teraz nie stawiają ocen, tylko płacą? I co to te znaki? Jakie znaki, stacje? Mamy liczyć jakies znaki? – Przekrzywiła głowę pokrytą plastikowymi wałkami i obwiązaną fioletową siateczką.

– Już wyjaśniam. – Łucja nie traciła rezonu. – Spacje, nie stacje. Znaki to litery, samo się policzy w komputerze, a ta praca jest na konkurs sponsorowany przez agencję reklamową. Gdy wygram, mogę dostać nawet tysiąc złotych. Tysiąc złotych! – powtórzyła z rozmarzeniem. – Kupiłabym kurtkę puchową i nowe kozaki, może nawet na plecak by mi starczyło.

– Hm... – Babcia zerknęła na leżący tuż obok jej nóg sfatygowany tobolek.

– Przepraszam. – Łucja natychmiast się zreflektowała. – Nie chciałam ci sprawić przykrości. – Zerwała się z krzesła i przytuliła swoją opiekunkę, aż coś niepokojąco zatrzeszczało.

– No przecież wiem, ty głuptasie. – Babcia od razu wyplątała się z flanelowopizamowych objęć wnuczki. – Tak krawiec kraje...

– ...jak mu staje – dokończyła Irena i wybuchnęła śmiechem.

– Aleś ty głupia! – Ciotka Agata, mimo że żart był płytki, też nie mogła opanować śmiechu.

– No co, same kobity, dorosłe, co poniektóre światowe... – Irena nie miała zamiaru się kajać.

– Cicho kozy, bo was po kątach porozstawiam. – Babcia zgromiła wzrokiem swoje córki bliźniaczki i znów zerknęła na zadrukowany gęsto świstek papieru. – Co mamy robić?

– Przeprowadzę z wami wywiad, zanotuję i przepiszę do komputera. Proste. – Łucja znów sięgnęła do plecaka i wyjęła mały skórzany piórnik oraz plik kartek. – Zaczynamy od ciebie! – krzyknęła bojowo, wymierzając ostro zatemperowany grafit ołówka w ciotkę Irenkę. – Jaka powinna być żona idealna?

– Zawsze chętna? No co?! Tak mówi Stefan! – próbowała się wytłumaczyć, gdy tylko spostrzegła, że jej matka wygląda, jakby zamierzała dzielić ją ścierką.

– Tu są dzieci, waż słowa. – Babcia nie zamierzała pozwalać Irenie na niestosowne żarty.

– Mamo, przesadzasz. – Ciotka Agata przyszła w sukurs młodszej o pięć minut siostrze. – Te dzieci teraz więcej wiedzą o tych sprawach niż my trzy razem wzięte.

– Internety. – Irenka wzruszyła ramionami. – Diabelski wymysł. Ostatnio złapałam Stefka, jak oglądał film z gołymi babami. Powiedział, że przez pomyłkę mu się wyświetliło.

– Oj, widzę, że szwagier nowoczesny, cyberseks, fiu fiu... – Agata parsknęła śmiechem, ale szybko się uspokoiła, bo matka szturchnęła ją ostrzegawczo w pulchne ramię.

– Helo! Jestem tu! – Łucja powoli traciła cierpliwość.

– Spokój dziewczynki, jeszcze raz. Irenko, jaka powinna być żona idealna? – Babcia próbowała za wszelką cenę opanować sytuację.

– Łatwa?

Gdy dwie godziny później wujek Janek próbował się dozwonić do Agaty i gdy nikt nie odpowiadał, sarkając na głośność swojej „idealnej” żony, wmaszerował do kuchni swojej również „idealnej” teściowej, nikt go nie zauważył. Cztery panie nachylo-
ne nad stołem zarykiwały się ze śmiechu i nie zarejestrowałyby nawet trzęsienia Ziemi czy przelotu komety.



Choć grudzień się jeszcze nie zaczął, nad Krakowem szalała zamieć śnieżna. Setki młodych ludzi, głównie studentów, wybierały się do lokali na imprezy andrzejkowe. Opatulone dziewczyny

przemykały pod ścianami i z ulgą docierały do klubów i dyskotek, a ich koledzy z radością witali pierwszy śnieg i nie omieszkali skorzystać z okazji, żeby zabawić się w bitwę śnieżkami lub wrzucanie ich za kołnierze wybranych ofiar.

Hajdukiewicz wraz ze swoim najlepszym przyjacielem postanowili spędzić ten wieczór w jednym z pubów przy Rynku Głównym. Mieli się spotkać w większej grupce przyjaciół, ale ostra grypa zmiotła prawie osiemdziesiąt procent ich stałej załogi. Odwołali rezerwację łoży i jak często bywało, wylądowali u Hajduka. Pozostało im własne towarzystwo okraszone butelką wybornego łyśkacza oraz płytą ze standardami dżezowymi. Wprawdzie Olga nieustająco zabujana w Hajdukiewiczu zgłosiła swoją gotowość, ale ten miał dość jej ciągłych awansów i w końcu posłużył się małym oszustwem, mówiąc, że jego matka zamierza go odwiedzić.

Gospodarz nie martwił się o przebieg wieczoru, bo dzień wcześniej Adam oświadczył, że otrzymał właśnie cały stos prac konkursowych, co miało zapewnić świetną rozrywkę. Soliński dokonał już ponoć wstępnej selekcji, oczywiście od razu odrzucając te napisane przez przedstawicieli ich płci.

– Usystematyzujmy. – Adam odłożył na szklany blat listę gorliwych czytelników Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Najpierw spotkasz się z laskami, które wzięły udział w konkursie, a gdy żadna nie spełni oczekiwań, sięgamy po listę rezerwowych, zacinając od panny Maśnik.

– Sandra Piputa... – Hajdukiewicz parsknął śmiechem. – Czuję, że to moja przyszła żona.

– Tia... zostawi sobie panieńskie nazwisko, a ty zrobisz jej trzy małe piputki, cokolwiek to znaczy.

– Jasne. Czytałeś to?

– Uhm, ale dosyć pobieżnie. Jak na taki duży wydział jestem rozczarowany ilością. Raptem osiem pań zdecydowało się coś napisać. Na ile znam kobiety, wyczuwam w tym idealne kandydatki na korposuki. – Odłożył na bok cztery prace z zakreślonymi na czerwono godłami.

– Rozumiem.

– To księżniczki i lambadziary, więc też nie polecam, choć, nie powiem, praca autorki... – Adam zerknął na plik kartek leżących na wierzchu drugiej kupki – nomen omen Księżnej HEJTU, jest napisana kapitalnie. Tysiąc należy się jej bezapelacyjnie. Laska powinna rozważyć karierę literacką i odejść z UJ-otu, bo się marnuje. Ciekawe, jak wygląda. – Znacząco chrząknął, bo inteligentne kobiety zawsze go niewiarygodnie pociągały, nawet te z osobowością borderline czy z innymi odchyleniami od równowagi emocjonalnej, a może zwłaszcza takie. – Zresztą nieważne – kontynuował. – Przeczytam ci mój ulubiony fragment... O jest! „Idealny mąż to mąż nieobecny, papierowy, ewentualnie przyjmujący jako jedyną – postać złotej karty kredytowej wręczonej tuż po miesięcznej podróży poślubnej spędzonej na Malediwach lub w równie atrakcyjnym miejscu...”

– Super. Masz coś jeszcze? Czy jednak muszę poprzestać na pannie Sandrze? – Hajdukiewicz podniósł się z fotela i podszedł do niewielkiego barku, aby znowu napełnić szklanki bursztynowym trunkiem.

– Mam. Aż jedną. Ksywka Łuska. Voilà! – Wręczył przyjacielowi plik kartek spiętych zwykłym metalowym spinaczem. – Moim zdaniem to nasz target, zdobyła drugą lokatę, więc będzie okazja do spotkania. – Zatarł ręce i sięgnął po szklankę, która już się lekko oszroniła.

– Łuska? Dziwne godło. Brzydkie. – Hugo podwinął rękawy białej koszuli, zdjął krawat i rzucił na oparcie fotela. – Kojarzy mi się z rybą.

– Nazwa niezbyt zachęcająca, ale zawartość owszem. Panna na sto procent ze wsi, wyczuwam cnotkę, wychowaną tradycyjnie i bardzo skromnie. Pilne dziewczątko, chyba z rozbitej rodziny, bo jakoś nie widzę ojca w tym wszystkim, choć to jest w jawnej sprzeczności z porządnymi katolickimi obyczajami.

Soliński, choć przed trzydziestką i jeszcze ciągle singiel, miał solidne podstawy, aby ferować swoje oceny tonem nieznoszącym sprzeciwu. Oprócz studiów związanych z reklamą równolegle odbył magisterskie studia psychologiczne i nawet zahaczył o dwuletni kurs z psychoanalizy i psychoterapii.

– Wizualnie jak? – spytał Hugo.

– Niestety, nie pomogę, ale proszę – położył na stole swojego iPhone'a – na liście kontaktów znajdziesz wróżbitę Macieja.

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. – Hajdukiewicz przełknął ostatnie krople whisky, szurnął pustą szklanką na stolik i rozparł się wygodnie na fotelu. – Szczerze mówiąc, uważam, że ten cały pomysł był idiotyczny. Nie sądzisz?

– Chodzi ci o kasę? Nie wierzę. Te sześć czy siedem tysięcy to dla ciebie problem? No błagam. Nie zapominaj, że wsparliśmy bibliotekę, zawsze to jakiś pożytek. No i od podatku sobie odliczymy.

– Nie chodzi o kasę – Hugo potarł twarz dłońmi – ale o całość. To wszystko jest bez sensu. Najchętniej wyjechałbym do Stanów i już nigdy tu nie wrócił. Mam dosyć tego kraju, marudzących klientów, tych wszystkich nachalnych kretynek, nawet rodziicielki mam po gardło. Od kiedy sprowadziła ciało wujka, wiecznie przesiaduje na cmentarzu, a gdy już wróci z funeralnego tournée, płacze godzinami i muszę ją wyganiać do twojej matki. Na dodatek nie chce słyszeć o wyjeździe, a samej nie chcę jej zostawiać. No i teraz jeszcze ten debilny testament. Fuck! – zaklął, uderzając pięścią w tapicerowany czekoladowobrązową skórą podłokietnik.

– Wyluzuj chłopie. Życie jest piękne – Adam próbował bagatelizować. – Jesteśmy młodzi, dobrze rokujemy, twój biznes tutaj całkiem nieźle się kręci, laski na nas lecą, więc?

– Więc? Nic. Nic nie czuję, nic mi się nie chce. Jestem jak odrętwiały, chyba dopadł mnie kryzys tożsamości. Wyjadę w Bieszczady i kupię kozę. W naszej rodzinie nie ma rodzinnych happy endów. Wujek umarł jako stary kawaler, matka została porzucona, zanim się urodziłem, dlatego nie znam własnego ojca i nie mam rodzeństwa, choć akurat chyba dobrze, że go nie mam. W sumie nic nie mam oprócz kasy i kilkunastu francyzowych kancelarii. Robienie pieniędzy, tylko to mi wychodzi w życiu, jak i naszej gigantycznej, wielopokoleniowej rodzinie – dodał z przekąsem. – I teraz, gdy już zamierzałem się do tego zabrać na poważnie, mój ukochany wuj wykręcił taki numer. Hipokryta. No to sobie pojęczałem. Sorry, stary.

– Spoko. Masz ojcowską ranę, ale nie takie rzeczy się ogarnia na terapii. Zobaczysz, na trzydziestych urodzinach obchodzonych w najlepszej knajpie w Bostonie wypiję toast z twoją żoną trzymającą małego Hajduka na rękach. Gwarantuję. A potem, niech się dzieje, co chce. W końcu od czego są rozwody? Poza tym też wychowywałeś się bez ojca i patrz, jaki gość z ciebie wyrósł? To co? Jeszcze jedną kolejkę?



Łucja szalała z radości. Wprawdzie jej praca nie zajęła pierwszego miejsca, ale srebrny medal też ją satysfakcjonował. W zasadzie nawet marna stówka sprawiłaby jej radość, a tu, proszę, jaka niespodzianka. Jej koledzy z grupy: Michał Janosz i Marcin Brzozowski, już odebrali nagrody. Ten ostatni, laureat główny, uciekł się do podstępu i napisał pracę jako kobieta. Ponoć wywołało to konsternację organizatorów, ale obiecany tysiąc złotych honorarium otrzymał.

Łucja nie mogła razem z chłopakami podjechać do siedziby agencji ABC Matrix. Po andrzejkach spędzonych w Afirmacji złapała ją taka grypa, że przez dziesięć dni leżała plackiem w akademiku, nawet na weekend nie pojechała do domu.

Trzeba przyznać, że jej przyjaciółki sprawiły się wzorowo. To one namówiły ją po ciężkich bojach na imprezę i to one poniosły konsekwencje, czyli odwiedzały ją codziennie, przynosząc chorej nie tylko notatki, lecz także „jadło i napitek”, a ojciec Olki wypisał recepty na antybiotyki i inne leki wyłącznie na podstawie wywiadu ze swoją córką.

Łucja była więc porządnie „zaopiekowana”, tym bardziej że w niedzielę wpadł wujek Janek z żoną i przywieźli ze sobą tyle żywności, że starczyłoby dla całego piętka. Część rozdała z obawy o zepsucie.

Półgodzinna podróż tramwajem na drugi koniec Krakowa wlokła się jak wyrok dożywocia i gdy w końcu Łucja z niego wysiadła, rozejrzała się rozczarowana, że ciągle jeszcze jest połowa grudnia tak samo jak i przy wsiadaniu do zdezolowanego

wagonika. Jeszcze krótki spacer i dotarła do przeszklonego biurowca z bardzo efektowną podświetlaną reklamą, informującą, że na trzecim piętrze znajdują się biura firmy ABC Matrix.

– Pani Łuska? – Śliczna, wysoka i szczuplutka jak trzcina blondynka podeszła do Łucji, gdy tylko ta stanęła w progu windy. – Dzień dobry. Sylwia Banaś. Zapraszam, pan Hajdukiewicz, czyli fundator nagród, czeka na panią. Niestety, mój szef Adam Soliński, pośredniczący w całym konkursie, jest dzisiaj nieobecny.

– Dzień dobry. – Łucja nieśmiało się uśmiechnęła. – Czy mogę gdzieś to...

– Oczywiście. – Sekretarka zabrała lekko znoszoną kurtkę. – Ma pani ze sobą zaświadczenie z uczelni?

– Tak, proszę. – Wyciągnęła z plecaka kopertę z blankietem konkursowym.

– To dla pana Hajdukiewicza. A teraz proszę iść do pokoju numer osiem. – Wskazała drzwi po lewej stronie krótkiego korytarza.

Łucja stanęła przed drzwiami i wzięła trzy głębokie wdechy. Nie była jakoś szczególnie nieśmiała, ale na myśl o spotkaniu sam na sam z obcym mężczyzną odczuwała skrępowanie, zwłaszcza że Michał i Marcin stwierdzili, że ci sponsorzy to młodzi i bardzo pewni siebie kolesie.

Lekko zapukała i nacisnęła klamkę, a gdy weszła do środka, głos uwiązał jej w gardle. Przy biurku siedział tajemniczy mężczyzna, którego spotkała w bibliotece...

Rozdział 2

Hugo ze znudzeniem przeglądał czasopismo branżowe wybrane spośród setek podobnych walających się po całym biurze Adama. Siedział tu już prawie kwadrans sam jak palec, a raczej jak ciężki idiota. Soliński po ostatniej akcji z laureatami wykpił się z powtórki. Jego intrygująca Księżna HEJTU okazała się pryszczatym dwudziestolatkiem, z aparatem na zębach i w podniszczonej marynarce. Ale słowo się rzekło i tysiąc złotych powędrowało do sprytnego młodzieńca. Adam skwitował, że dobra karma zawsze wraca i że ten student przez następny miesiąc będzie im wysyłał pozytywne wibracje.

– Żebyś ty chłopie wiedział, po co to wszystko... – Hugo westchnął, przypominając sobie minę dziekana, gdy wręczał mu skrócony regulamin konkursu.

Kolejny raz uświadomił sobie, że nie każdy pomysł zrodzony w trakcie pijackich zabaw miał sens, a ten ostatni, czyli projekt ŻONA, zdecydowanie przebił wszystkie poprzednie. To był najgłębszy projekt, jaki wdrożyli, na dodatek z góry skazany na porażkę, choć władze uczelni, gdy tylko otrzymały propozycję dotacji, od razu okazały zainteresowanie.

Hajdukiewicz zamierzał dzisiaj definitywnie zakończyć akcję, lista z biblioteki już wczoraj wylądowała w niszczarce, jeszcze tylko wręczy ostatni czek, pogratuluje zwyciężczyni i koniec głupot. Kwestię rychłego ożenku trzeba było załatwić w inny sposób. Nowy pomysł Adama, czyli rejestracja na portalach randkowych,

kiedyś całkowicie nie do przyjęcia, obecnie wydawał się znacznie bardziej rozsądny.

Ciche pukanie przerwało jego rozmyślenia. Już miał zawołać „proszę”, gdy drzwi się otwały i do środka wsunęła się nieśmiało młoda dziewczyna. Przez chwilę przyglądał się jej ze zdumieniem, bo zdał sobie sprawę, że gdzieś już ją widział.

– Dzień dobry – wykrztusiła i natychmiast oblała się rumieńcem.

– Dzień dobry. – Hugo podniósł się z fotela i podszedł do niej. Patrzył na jej zaróżowioną twarz, starając się usilnie skojarzyć okoliczności ich pierwszego spotkania.

– Łucja. – Przerwała ciszę i wyciągnęła rękę. – To znaczy... Łuska. To ja napisałam pracę.

– Hajdukiewicz. Hugo – odwzajemnił powitanie, dosyć szybko zabierając swoją dłoń. – Czy my...

– Tak. Chyba spotkaliśmy się w bibliotece miesiąc temu. – Zabawnie przekrzywiła głowę.

– Rzeczywiście, ma pani lepszą pamięć – mruknął z uznaniem.

– Proszę mi mówić na ty.

– Oczywiście.

Nagle uprzytomnił sobie, że ciągle stoją przy drzwiach.

– Proszę usiądź. – Wskazał jej fotel.

Na szczęście dla niej, zanim zdążyła się umościć, do gabinetu weszła sekretarka Adama z tacą. Zrobiło się małe zamieszanie, Hugo zbyt szybko ustawił swoją filiżankę i wychłapał nieco kawy na spodek, Sylwia próbowała opanować sytuację, a Łucja w tym czasie mogła nieco ochłonąć.

Później Hajdukiewicz miał swoje pięć minut, gdy jego gość sypał cukier i dolewał mleczka, a potem przez dłuższą chwilę mieszał starannie gorący napój. Gospodarz bez większych problemów dokonał szybkiego rekonesansu, oceniając walory wizualne jedynej kobiety, którą mógł poznać dzięki akcji ŻONA.

Łucja nie wyglądała jak studentka. Przypominała licealistkę, i to nie z klasy maturalnej, lecz raczej pierwszej lub drugiej. Od razu przypadła mu do gustu. Niska, szczupła, z wąskimi nadgarstkami i drobnymi dłońmi, z owalną twarzą o bladej

i delikatnej cerze skrytą w burzy długich włosów opadających na ramiona.

– Pyszna. Od razu czuć, że z ekspresu. – Uniosła jasne brwi i lekko się uśmiechnęła.

– Lubisz kawę.

– Lubię, ale rzadko mam okazję pić tak dobrą, w akademiku albo fusiasta, albo rozpustna.

– Rozpustna? – spytał zdumiony.

Łucja na moment się zmieszala, nie mogła uwierzyć, że tak młody człowiek nie poznał nigdy tego określenia.

– No tak się kiedyś mówiło na kawę rozpuszczalną. Taki stary żart. Nie znasz... nie zna pan... – Nagle zupełnie się zacięła, bo uznała, że Hajdukiewicz przygląda się jej badawczo jak jakiemuś zwierzakowi z trzema głowami. Pokraśniała i gdy zdała sobie z tego sprawę, nerwowo zagryzła wargi.

– Nie znam. Przepraszam – próbował załagodzić.

– To ja przepraszam. Czasami zachowuję się zbyt swobodnie. – W końcu udało się jej coś wyartykułować.

– Dopiero od kilku lat znów mieszkam w Polsce. Może dlatego nie znałem tego sformułowania. Rozpustna... – Uśmiechnęła się. Atmosfera ponownie nieco się oczyściła. Hugo odstawił filiżankę, wyjął z szuflady czek i przesunął go w stronę Łucji. – Proszę, oto twoja nagroda. Gratuluję. Masz zgłoszenie z uczelni?

Łucja usiłowała gorączkowo sobie przypomnieć, gdzie schowała kopertę, na szczęście od razu stanęła jej przed oczami sekretarka i szybko sięgnęła do plecaka.

– Proszę.

Hugo rozerwał kopertę. Zrobił to wyłącznie dla formalności. W zasadzie teraz to i tak nie miało znaczenia. Spodobała mu się ta dziewczyna. I nie tylko pod względem urody, lecz także zachowania. Od razu dało się wyczuć, że jest pogodna, wesoła i sympatyczna, a że trochę nieobyta? Nad tym mógł popracować on albo jego matka. Z intelektem też źle nie było, wszak studiowała na prestiżowej uczelni, więc maturę musiała zdać, i to z wysokimi notami.

– Łucja Maśnik? – przeczytał informację i natychmiast przypomniał sobie rozmowę z Adamem.

Zatarł w duchu ręce, bo siedząca przed nim dziewczyna była nie tylko autorką wyselekcjonowanej pracy, lecz także gorliwą czytelniczką. Mogło to sugerować, że z pewnością nie jest typem imprezowiczki.

– Tak.

– Mogę spytać, skąd takie godło? Łuska? – Uniósł wzrok znad kartki.

– Szczerze mówiąc, jesteś... jest pan... – kolejny raz się zacięła.

– Może ustalmy raz na zawsze. Hugo. Okej?

– Okej. – Potaknęła. – Więc Hugo, jesteś pierwszą osobą, która o to pyta, bo każdy myśli, że to od Łucji, a to nieprawda.

– A jaka jest prawda? – Teraz on przekrzywił głowę i nawet lekko nachylił się nad blatem.

– To zabawna historia – uśmiechnęła się. – Z dzieciństwa. Trochę długa.

– Chętnie posłucham. – Hajdukiewicz wrzucił kopertę do szuflady, odchylił się w fotelu i wygodnie wsparł ręce na podłokietnikach.

– Od czego by zacząć... – zawiesiła głos. – Gdy byłam mała, na pierwszej Wigilii, którą pamiętam, babcia powiedziała mi, że w portfelu powinnam nosić łuskę karpia, którego jadłam na wieczery i że to przynosi szczęście, to znaczy pieniądze się mnożą i nigdy ich nie zabraknie. Znasz ten zwyczaj?

– Tak.

– No właśnie. Ale ja byłam mała i coś mi się popiórkowało z siankiem pod obrusem. Wydawało mi się, że sianko ma być w portfelu, a łuska pod obrusem, i to przy każdych świętach. I gdy na przykład była Wielkanoc albo moje urodziny, albo odpust, albo niedzielny obiad, robiłam awanturę i płakałam, aż babcia lub ciotki włożyły łuskę pod obrus. Tak mi się zakodowało w głowie: obrus, święta, łuska karpia! – zachichotała. – Sprawdzałam, czy jest! I to zawsze. Obrus do góry, nie ma łuski, zaczynałam ryczeć: łuska... łuska... bo będzie nieszczęście...

I wszyscy musieli szukać łuski, bo nie siadłam przy stole, póki jej nie było. Babcia zawsze trzymała pełno łusek w słoiku, żeby starczyło na cały rok, i tak się to ciągnie aż do teraz.

– Nadal robisz awantury? – Hugo uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Nie! Chodzi mi o łuskę. Babcia co roku, gdy obiera karpie, uzupełnia słoik i wymienia na nowe. Gdy rozkłada na stole biały obrus, wsuwa pod niego zawsze jedną albo dwie. Mówi, że to na szczęście dla mnie. Na moje osobiste szczęście. A że co tydzień jemy obiad przy stole nakrytym obrusem, to i łusek nam idzie sporo. Ups! Wysłałam na niezbyt mądrą gadułę? – Łucja przytknęła dłoń do ust, bo dopiero teraz spostrzegła, że Hajdukiewicz nie spuszczał z niej oka i na dodatek w trakcie całej tej przemowy wypowiedział tylko jedno zdanie.

– Nie. To była naprawdę ciekawa historia, słuchałem z przyjemnością. – Obdarzył ją kolejnym uprzejmym uśmiechem. – Czyli łuska jest twoim talizmanem?

– Mniej więcej – potwierdziła już spokojniejsza. – Przewzi-
skiem też, choć ostatnio rzadko tak do mnie mówią. Czasami babcia, wujek Janek, ale od kiedy wyrosłam, chyba uznali, że nie pasuje tak się do mnie zwracać.

– Jak widać, przyniosła ci szczęście.

– No tak, a jak mówi babcia: jaki poniedziałek, taki cały tydzień, więc to dopiero początek – stwierdziła z przekonaniem.

– Jesteś optymistką?

– Niepoprawną.

– Pewnie wydasz całą nagrodę na książki.

– Na książki?

– Lubisz czytać – szybko uzasadnił. Zbyt szybko, bo Łucja natychmiast spytała, skąd wie.

– No przecież spotkałem cię w bibliotece. Czyż nie? – Ode-
tchnął, że udało mu się wybrnąć, ale od razu skarcił się za nie-
ostrożność.

– Owszem, lubię, ale mam inne plany. – Łucja uśmiechnęła się blado. Wiedziała, że całość pójdzie na zakupy uzupełniające jej skromną garderobę.

– Rozumiem.

Znów zapadła cisza. W zasadzie wszystko zostało powiedziane, nagroda wręczona, potwierdzenie bezpiecznie spoczywało w szufladzie. Łucja przez chwilę zastanawiała się, czy powinna coś jeszcze zrobić, gdy uświadomiła sobie, że przecież nie podziękowała. I po raz trzeci poczuła, że jej policzki znów płoną.

– Bardzo przepraszam, ale z wrażenia zapomniałam ci... to znaczy tobie i twojemu współnikowi podziękować. Boże, czasami zachowuję się jak idiotka. Bardzo dziękuję, naprawdę bardzo, bardzo. Jeszcze nigdy w życiu nic nie wygrałam. – Pokiwała głową dla dodania powagi swojej wypowiedzi.

– Wiesz, jest takie powiedzenie: kto nie ma szczęścia w kartach, ma je w miłości. Może jednak lepiej dla ciebie byłoby, gdybyś nic nie wygrywała? – Hugo znów nachylił się nad biurkiem.

– Hm... Chyba warto mieć szczęście i w jednym, i w drugim, a te pięćset złotych to w sumie nie wygrana, lecz raczej nagroda za coś. Ojej! Zakała pućkałam się! – Łucja zaśmiała się, bo uświadomiła sobie, że zabrzmiało to, jakby chciała zjeść ciastko i mieć ciastko.

– Zakała...

– ...pućkałam – dokończyła za niego.

– Masz bardzo bogaty język – mruknął z uznaniem. – Rozpusztana kawa, coś z piórkami też było, no i teraz to: zakała... coś tam, nie jestem w stanie powtórzyć.

– Nie wiem, czy bogaty, na pewno za długi i za ruchliwy, tak mówi babcia – wypaliła Łucja bez większego namysłu.

– Długi i ruchliwy? – Hajdukiewicz wytrzeszczył oczy i ryknął niepowstrzymanym śmiechem.

Siedząca przed nim dziewczyna najpierw podskoczyła nerwowo jak ukłuta szpilką, a gdy dotarło do niej, jak dwuznacznie mógł odebrać jej ostatnią uwagę, postanowiła, że natychmiast po powrocie do akademika własnoręcznie utnie sobie ten nieszczęsny nadpobudliwy organ w ustach.

– To może ja już pójdę – rzuciła niemrawo.

– Przepraszam. – Hugo błyskawicznie się zreflektował, że nieco przeszarżował. – Tym razem ja zachowałem się zbyt swobodnie – zacytował jej wypowiedź.

– Nic się nie stało.

Hajdukiewicz przez moment rozważał za i przeciw i pomyślał, że to *faux pas* mógłby obrócić na swoją korzyść.

– Hm... Zachowałem się niezbyt grzecznie. Może w ramach przeprosin dałabyś się zaprosić na kolację? Powiedzmy jutro, o szóstej? Możemy spotkać się na miejscu albo podjadę po ciebie. Do akademika, czy wolisz na uczelnię?

Osaczył ją, dając jedynie pozory wyboru. Manipulowanie ludźmi? Zawsze był w tym dobry.

– Jutro kończę zajęcia wcześniej, akademik będzie lepszy. – Była tak zaskoczona propozycją, że nawet nie zdołała trzeźwo pomyśleć. Gdy sobie uświadomiła, że nie ma w czym iść na tę kolację, było już za późno, bo się zgodziła.

– Świetnie. Napisz mi adres i numer telefonu. – Szybko wyjął z drukarki kartkę i podał dziewczynie razem z długopisem.

– Hugo... – zawahała się, ledwie skończyła pisać ostatnią cyferkę.

– Masz bardzo ładny charakter pisma. – Wysunął spomiędzy jej palców kartkę, szybko przeleciał wzrokiem, złożył na cztery i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Bardzo cię przepraszam... – zerknął na zegarek – ale nie przypuszczałem, że nasze spotkanie będzie aż tak fascynujące i kompletnie wyleciało mi z głowy, że za...

– Ale... Hugo... – Łucja próbowała wycofać się z zaproszenia, lecz mężczyzna zdawał się w ogóle tego nie zauważać. W końcu pozostało jej jedynie zabrać czek. – Bo ja... – podjęła ostatnią próbę, gdy już stanęli przy drzwiach, ale wtedy on podniósł jej dłoń i lekko ucałował.

– Do jutra, Łucjo.

– Do zobaczenia.

Wyszła z gabinetu na nogach z waty. Sama nie wiedziała, jak dotarła do windy i gdyby nie Sylwia, z pewnością zapomniałaby

kurtki i w samym sweterku wróciła do akademika. Godzinę później, patrząc na swoją rozpaloną twarz w łuszczącym się łusterku w małej akademickiej łazience, zdała sobie sprawę, że nazajutrz ma randkę z bardzo przystojnym i bardzo bogatym facetem i że z pewnością to wszystko wydarzyło tylko dlatego, że łuska karpia zawsze przynosiła jej szczęście, i że to nie może być nic złego.



– Co za motyw? – Ola jak zwykle, z właściwym jej wyluzowaniem, dotarła na uczelnię z blisko dwugodzinnym spóźnieniem i teraz ładowała się na trzeciego do małego stoliczka w jednym z uczelnianych bufetów.

Właśnie skończyły się pierwsze wtorkowe ćwiczenia i cała grupa korzystała z półgodzinnej przerwy. Dziewczyny z trudem znalazły wolne miejsce przy klejącym się od wszystkiego, co możliwe, okrągłym blacie. Mimo wszechobecnego tłumy studentów trzy przyjaciółki akurat w tym miejscu miały nieco spokoju, bo od reszty oddzielała je prowizoryczna ścianka powstała z plastikowych pojemników wypełnionych pustymi butelkami po napojach.

– Młoda ma randkę. – Marta wskazała serową zapiekanką na Łucję. – Dzisiaj. O szóstej. Z tym kolesiem, który sponsorował konkurs. Zaprosił ją na kolację.

– Łał! – Ruda była pod wrażeniem. – No, laska, niezły ci się trafił łup. Jaki ten koles? Przystojny?

– No. – Łucja smętnie pokiwała głową. Zeszłego wieczoru jej uczucia falowały bardziej niż morze wokół wyspy Rockall. Najpierw się załamała i wyzywała od naiwnych idiotek, minutę później tryskała entuzjazmem i wiarą w przeznaczenie, za chwilę rwała włosy z głowy na myśl, że nie ma w czym iść. Ostatecznie poszła spać po drugiej w nocy, z ciężkim sercem i pustym żołądkiem – od wizyty w siedzibie agencji ABC Matrix nie przełknęła nawet łyka wody.

– Młody?

– No – stwierdziła nad kolejnym kęsem obrzydliwie suchej pizzy.

– No?! – Olka nie mogła już tego wytrzymać. – A konkretniej?

– Pod trzydziestkę, prawnik. Hugo Hajdukiewicz. Sprawdziłam. Jest wszędzie, sama zobacz, jak chcesz. Na fejsie, na insta, na tlicie też. Kawaler. Playboy – Marta w punktach zreferowała najważniejsze informacje. – Brunet, wysoki, ciacho. Status wolny.

– Aha. E... laska, skąd taki żałobny look? – Ola lekko szturchnęła łokciem Łucję zakutaną w czarny, szeroki i niewiarogodnie długi szal. – Na pogrzeb idziesz, czy na randkę?

– Ona chyba nie chce nigdzie iść. – Marta wzruszyła ramionami. – Łuki, no powiedz coś, zombiaku.

– Co mam zrobić? Iść? – Łucja podniosła wzrok znad papierowej tacki i popatrzyła z nadzieją na swoje przyjaciółki.

– No raczej? Przecież nie zje cię na tej kolacji. – Ola ryknęła śmiechem. – Gdzie idziecie?

– Nie wiem. – Łucja pokręciła głową. – Nic nie wiem. Zaskoczył mnie jak gajowy wilka. Pif-paf i już byliśmy umówieni. Ma przyjechać o szóstej pod akademik. Nawet numeru jego komórki nie mam. Co za sierota ze mnie.

– Oj tam, zaraz sierota. Nie szpanuj. No dobra, może jakoś drogą dedukcji do tego dojdziemy. – Marta odłożyła resztkę zapiekanki i podparła się pod brodą. Zawsze tak robiła, gdy zamierała nad czymś poważniej się zastanowić. – Skoro kasiasty i pan mecenas... – wymówiła to słowo z odpowiednią emfazą – i na dodatek chyba jakiś arystokrata...

– Arystokrata? – Ola wybałuszyła oczy.

– Chyba tak, bo to szlacheckie nazwisko. Nawet herb mają. – Marta wywlekała wszystkie szczegóły, jakich zdążyła się dowiedzieć z internetu w ciągu dziewięćdziesięciu minut ćwiczeń. – Nieczuj? Tak to było? – Zerknęła na otępiałą Łucję.

– Herbu Nieczuja. Ja też dzisiaj jestem „nieczuja” – stwierdziła z przekąsem.

– No dobra, i? – Olka zerknęła na komórkę. – Skracaj.

– Więc... – Marta wypowiedziała to słowo tak, że zabrzmiało jak „wiens” – na frytki w maku raczej bym się nie nastawiała. Na KFC też, naleśnikarnia również odpada i kebab też możemy skreślić.

– Aha. To co zostaje? Wierzynek? – Ola wpakowała sobie do ust resztkę zapiekanki.

– Ja się załamie. – Łucja pokręciła głową. Wyglądała, jakby niosła na barkach cały świat i tak właśnie się czuła od poranka. Ledwie otworzyła oczy i uświadomiła sobie, że jej pokój to nie apartament w hotelu Hilton, a ona w niczym nie przypomina tych ślicznych pańienek wodzących się pod ramię z równie ślicznymi facetami – resztki wczorajszego entuzjazmu wyparowały bezpowrotnie.

– *Trudne sprawy* – skwitowała dowcipnie Olka.

– *Dlaczego ja?* – Bohaterka dramatu nie pozostała jej dłużna.

– Ej, laski. Przerwa się kończy. – Marta zerknęła na telefon. – Co robimy?

– Dzisiaj nie mam dnia do nauki. Właśnie to do mnie dotarło. – Ola podniosła się z chybotliwego krzeselka. – Jadę do domu, a o czwartej wbijamy do targetu. Trzeba dokonać transformacji. Marta, weź jakieś fajne ciuchy, ja też coś wezmę, choć nie wiem, czy nie będą za długie.

– Jakiej transformacji? – Łucja nie mogła zrozumieć, o co im chodzi.

– Trzeba cię ciut stuningować. Wiesz, wygląd na pierwszej randce to podstawa. – Ruda znaczącym gestem poprawiła swoje perfekcyjnie wygładzone prostownicą włosy. – Nie bój się, będzie sexy, ale ze smakiem.

– Przywiozę kosmetyki. – Marta porozumiewawczo kiwnęła głową.

– Okej. Strategia ustalona. Spadam, a wy do nauki. Siemka panny. – Ola błyskawicznym ruchem zapięła suwak swojej kusej skórzanej kurteczki i dziesięć sekund później o jej obecności świadczył jedynie unoszący się w powietrzu ciężki zapach perfum.



Słońce przygrzewało niemrawo, ale i tak było zwycięzcą z resztkami śniegu pokrywającego bulwar Czerwiński. Cała delikatna posypka, którą oprószony był Kraków od paru godzin, zamieniła się w szaroburą „polewę”.

Hugo zatrzymał się i wsparł dłonie na kolanach.

– Cholera! Nie mam kondycji! – krzyknął do mijającego go Adama.

Soliński od razu wyhamował i biegnąc tyłem, zrównał się z sapiącym jak lokomotywa przyjacielem.

– Co jest? Hajduk, ty cieniasie. A mówiłem, siłka trzy razy w tygodniu, a nie leżenie dupskiem do góry. – Stał i zamasytym ruchem piasnął kumpla w wypięty pośladek.

– Nie leżałem. Wczoraj rano byłem w Katowicach, a dzisiaj mam pierwszy wolny dzień od trzech miesięcy. – Hugo wyprostował się z trudem. Ostatnio był bardzo zagoniony. Otwierał kolejny oddział i uzgadnianie szczegółów umowy franczyzowej z nową kancelarią wlokło się niemiłosiernie. Ciągłe coś nie pasowało, a to jemu, a to Malinowskiemu, który bronił praw swojej dwudziestoosobowej grupy pracowników z determinacją godną podziwu. Na szczęście już prawie wszystko dopracowali i za tydzień umowa miała być podpisana.

– Dwadzieścia przysiadów! – Soliński zarządził wojskowym tonem. – Dajesz, ojciec! Szlifuj formę, żonka musi mieć z ciebie pożytek.

– Przypominam ci, że idziemy tylko na kolację.

– Od kolacji do śniadania niedaleka droga. Więc nie marudź!

Akcja!

Obaj mężczyźni z zapalem ćwiczyli, wyrzucając z siebie kłęby parującego powietrza. Dopiero dwadzieścia minut później zgrzani jak po maratonie powlekli się w kierunku najbliższego pubu na „czystą wodę”, jak podkreślił Soliński.

Hugo odstawił szklankę i osunął się bezwładnie w fotelu. Rzeczywiście zaniedbał się strasznie. Gdy mieszkał w Stanach,

prawie codziennie uczęszczał do siłowni, dwa razy w tygodniu korzystał z uczelnianego basenu, a tu? Na początku, owszem, chodził do pobliskiego klubu fitness, ale gdy te wypadły zaczęły bardziej przypominać spotkania towarzyskie niż zajęcia sportowe – zrezygnował. No i jeszcze ta cała historia z Andżeliką, piękną instruktorką, która dała mu tak popalić, że do końca życia jego układ nerwowy i serce będą ją pamiętać i to nie ze względu na trening cardio, który przeprowadziła z nim zaraz po poznanium.

– Gdzie ją zabierasz? – Adam rozpiął suwak czarnej kurtki softshell.

– Myślałem o Sempre na Brackiej albo o Białej Róży. Jak uważasz?

– Moja matka woli Różę. Była tam ostatnio z ojcem i jeszcze z jakimiś znajomymi. Bartyzelowie? Chyba też lekarze. Nieistotne, w każdym razie była zachwycona.

– Czyli Sempre. – Hugo znał dobrze „ukochaną psiapsiółkę” swojej matki i wiedział, że ma wyjątkowo sztywniacki gust.

– A jak ogólnie? No wiesz, wygląd, charakter – te sprawy?

– Rokuje dobrze. Ładnusia, blondyneczka, długie włosy, szarobłękitne oczęta, już ci mówiłem. Słowiańska uroda *first class*. Hajdukiewicz znów przywołał w wyobraźni obraz Łucji. Podobała mu się, była jak nieoszlifowany diament: z gładką jasną cerą i rumieńcami, co chwila okraszającymi jej twarz, z małym lekko zadartym noskiem i pełnymi ustami w kolorze świeżych malin. Gdyby ją ubrać w coś ładnego, kobiecego, a nie te bezkształtne, ponure i zbyt duże ciuchy, które miała na sobie za każdym razem, gdy ją widział, wyglądałaby całkiem nieźle.

– Mówiłeś. – Adam potaknął leniwie. – A charakter?

– Chyba ty ją lepiej poznałeś, ja nawet nie czytałem tej pracy.

– Nie?! Musisz nadrobić! A jeśli cię o coś zapyta?

– Nie miałem kiedy. Poza tym prawie cały czas to ona mówiła. Istny słowotok, choć, nie powiem, były momenty, że się zamknęła. Dosłownie i w przenośni.

– Czyli?

– Wystarczy ją zawstydzić, a o to nietrudno. – Hugo potarł się po szorstkim podbródku.

- Sugerujesz, że jest głupia?
- Nie. Raczej bardzo infantylna.
- No cóż, to chyba dobrze – stwierdził. – Taki target nam pasuje. Łatwo sterowalny.
- *Exactly.*
- I o czym tak rozprawiała?
- Takie tam babskie gadanie, coś z dzieciństwa, o rybich łuskach i obrusach. Nie zająknęła się ani słowem o rodzicach, przypuszczalnie wychowuje ją babka. Mieszka w akademiku, z pewnością z kasą krucho, bo i ubrana skromnie i entuzjazm z nagrody spory.
- Jakie plany na dziś? – Adam znacząco przekrzywił głowę. – Kolacja i?
- I tyle. Chyba nie oczekujesz, że zawlokę ją do mieszkania i przelecę? – Sam był zdumiony, że tak beznamytnie podszedł do tematu. Dla niego cała ta randka była takim samym biznesem jak umowa z Malinowskim. Dzisiejszego poranka uświadomił sobie, że gdy tylko za Łucją zamknęły się drzwi, zupełnie o niej zapomniał i dopiero teraz na powrót zaczął myśleć o tym, co może go dzisiaj spotkać i co nowego opowie mu panna Maśnik.
- Zawsze możesz spróbować, przynajmniej będziesz wiedział, czy łatwa. – Soliński uśmiechnął się lubieżnie.
- Skoro tak zachęcasz... – Hajdukiewicz podniósł się i wyprostował wyciągnięte przed siebie skrzyżowane w palcach dłonie. – Może warto sprawdzić, jak z kręgosłupem moralnym i instynktem samozachowawczym. No a teraz komu w drogę, temu galon oleju napędowego. Wstawaj Sola.



– Nie otwieraj oczu!

Marta z Olą prowadziły Łucję przez cały korytarz do wielkiej lustrzanej ściany przy windach. Ponad godzinę trudyły się nad przyjaciółką, aby ją doprowadzić, jak to ujęła Ruda, do stanu „używalności wizualnej”, czyli dobrze ubranej, uczesanej i z dyskretnym makijażem.

Gdy Łucja zobaczyła gigantyczny w jej mniemaniu kufer z kosmetykami, od razu zaprotestowała. Broniła się jak lwica, nawet uciekła się do oszustwa, twierdząc, że ma alergię, ale Marta wyczuła podstęp. Wskazując palcem na pośledniej jakości żel pod prysznic, stojący na środku parapetu, oskarżycielskim tonem stwierdziła, że skoro myje się takim perfumowanym i zabarwionym na wściekle różowy kolor badziewiem o wdzięcznej nazwie Malinowa chmurka, to markowa kolorówka tym bardziej jej nie uczyłi.

Dziewczyny spisały się na medal. Ola przywlokła wagon ciuchów, w klasyfikacji generalnej zwyciężyły: prosta czarna bluzeczka z długimi rękawami i bardzo mocno wyciętym dekoltem, także kolorystycznie rajstopy – jedyna własność Łucji, spódnica z pianki, uszyta z ośmiu klinów i zadrukowana w bardzo kolorowe róże oraz rozpinany ażurowy sweterek, dla kontrastu bielutki jak śnieg. Marta pożyczyła jej też swoje jeszcze ciepłe, jak podkreśliła, czarne kozaczki na szpilce. Sama nieco niechętnie wskoczyła w znoszone buty gospodyni, ale innego wyjścia nie było, bo kozaki, w których Łucja pomykała przez ostatnie trzy lata, wyglądały jak... One już w zasadzie nawet nie wyglądały.

– Już mogę? – Przyszła uczestniczka kolacji nieco się niecierpliwiła.

Zatrzymały się przed lustrem, ale dziewczyny jeszcze ciągle coś poprawiały. Marta zebrała pęk prostych jak struna włosów i przełożyła je na plecy Łucji, po czym zmarszczyła nos i z powrotem ułożyła jak obramowanie wokół dekoltu bluzeczki.

– Ten sweterek jakoś mi nie leży. – Ola przez moment przyglądała się swojej stylizacji. – Zdejmujemy go, wygląda w nim jak moja prababcia, której nigdy nie poznałam.

– Mogę już?

Marta błyskawicznie rozpięła pięć maleńkich guziczków i delikatnie zsunęła sweterek z ramion Łucji.

– Możesz.

– Łał!!! – wykrzyknęła zdumiona. – Łał!!! – powtórzyła po chwili głosem pełnym zachwytu. Okręciła się delikatnie najpierw

w prawo, później w lewo. Pierwszy raz w życiu podziwiała samą siebie, no może nie licząc dnia, w którym przystępowała do pierwszej komunii. Wtedy też była zachwycona, choć bielusińskie alby przygotowane przez panie z kółka różańcowego przy ich kościółku nie wyróżniały się ani pięknym krojem, ani doskonałą jakością wykonania.

– Co? Nieźle? – Ruda z dumą założyła ręce. – Autografy jutro, bo dzisiaj nie ma czasu.

– Chwila, to makijaż i fryzura robią efekt, a nie jakieś tam twoje ciuchy z Vinted. – Marta nie mogła pozwolić na odebranie jej części udziału w ostatecznym wyniku.

– Z żadnego Vinted! – odburknęła Olka.

– To z OLX. Koniec oględzin, bo się publika zbiera. – Zagórska przytomnie zauważyła, że z dwóch pokoi obok wychyliły się ciekawskie głowy współlokatorek Łucji.

– Bożyczku mój, dziewczyny, jesteście kochane! Nigdy bym się nie spodziewała! – Łucja wreszcie odwróciła wzrok od swojego odbicia i szybkim ruchem przytuliła obie przyjaciółki. – Naprawdę, zaraz nie wytrzymam, jesteście najlepsze na świecie – jęknęła, bo wzruszenie powoli zaciskało na jej gardle swoje mokre od łez dłonie.

– Łuki wyluzuj, bo ci mejkap spłynie. – Ola wyplątała się z objęć, udając, że podziękowania nie robią na niej wrażenia, ale jej też coś niepokojąco błysnęło w kącikach oczu. – Nie robimy tego bezinteresownie. Jesteś naszym niewolnikiem od notatek i ściągania na kolosach, zapomniałaś?

Marta nawet nie miała siły się odezwać, od dziecka łatwo się wzruszała i tak samo jak Ruda szybko odwróciła wzrok. – Idziemy do pokoju. Jeszcze szkolenie BHP. Pamiętajmy, że mamy do czynienia z początkującą i starym graczem.

– BHP? – Łucja enty raz tego dnia była zaskoczona.

– Tia... Masz farta, czerp z naszego doświadczenia, a zajdziesz daleko. – Zagórska puściła do niej oczko.